NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata w Polsce: Kwartalnie 37 Marek, Półrocznie 74 Marek. Rocznie 148 Marek.

Zmiana adresu 1 Markę.

Ceny ogłoszeń: za wiersz petitowy jednoszpaltowy na ostatniej stronie 2 Mp., na miejscu specyalnie zastrzeżonem Mp. 2·80, za wiersz nonpareilowy jednoszpaltowy 4 Mp., za wiersz petitowy w części redakcyjnej 10 Mp.

Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA i ADMINISTRACYA: KRAKÓW XV. ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny).

Telefon Nr. 479.

Naczelny redaktor: Wincenty Korolewicz.

Wyłączne zastępstwo na Lwów: KAROL BUCHSTAB, Biuro dzienników — Lwów, ul. Legionów 21.

W Warszawie do nabycia wszędzie. Łódz, Piotrkowska 62.

Numer pojedynczy 3 Marki = K4·20.

Rok XVII. Kraków, 6 marca 1920. Nr. 10.

Tak nam dopomóż Bóg!



Tłumy uczestników wiecu na rynku cieszyńskim.

Tak nam dopomóż Bóg!

Kiedyś, w lutym 1918 r., gdy Niemcy chcieli nam wydrzeć Chełmszczyznę, z serca Krakowa, głuchy jęk rozpaczy wypłynął, a potem wzniosły się ręce i były gotowe chwycić za karabiny, ale dziś... To byli wrogowie, przeciwko którym zawiązywaliśmy tajne związki, a teraz nasi sprzymierzeńcy chcą wydać nasze prastare ziemie w ręce krzyżaków słowiańskich.

I znowu podniósł się krzyk protestu. Kraków w imieniu całej Polski, będąc stróżem Śląska znowu tysiącami tłumów, jak pierwej złożył na rynku krakowskim przysięgę, że

nie damy ziemi wrogom.

Nie damy Śląska, Spisza i Orawy choćby nam grożono karabinami maszynowymi. I wszelkie oszukańcze plobiscyty, mające być urzędowym stwierdzeniem rabunkowej woli koalicyi są i będą dla nas świstkami papieru. Jeżeli nam nie odda się ziemi, my ją sami odbierzemy, choćby przeciwko naszym wojskom miał stanąć świat cały. Na to przysięgamy i

tak nam dopomóż Bóg.



Przemówienie dr. Morawskiego zagajającego wiec na rynku krakowskim.



Przemówienie robotnika ze Śląska Cieszyńskiego na wiecu.

Nie było końca witalnym okrzykom, gdy na rynku krakowskim stanęli Ślązacy, aby wziąść udział w olbrzymim proteście Krakowa przeciwko gwałtom koalicyi na Śląsku Cieszyńskim. Co chwila zanurzały się w nowe głów fale przybywających i płynęły wśród szpalerów, utworzonych przez organizacye kolejarzy i robotników odświętnie ubranych z ukwieconymi sztandarami i tablicami, wskazującymi miejscowości, skąd wybrał się lud piastowy. Ciągnęli więc do stóp pomnika górale z nad źródeł Wisły i Olzy, górnicy, zastępy robotników, mieszczanie, chłopi.

Wiec otworzył prezes Akademii Umiejętności dr. Morawski.

„Zebraliśmy się tutaj, aby Ślązaków przekonać, że za nimi stanie cały naród w jednym szeregu, z gorącem uczuciem, a nawet męstwem wrazie potrzeby".

Ze łzami w oczach słuchano przemówienia górala Borowego z Orawy i jakby modlitwę powtarzano jego słowa: „Polsko wytrwaj, a cały naród i wszystkie twoje dzieci przyjdą do Ciebie". Następnie mowca z przejęciem opowiadał o znęcaniach się Czechów nad ludem orawskim.

W silnych słowach przemówił bojownik za sprawą Śląska poseł Reger, który przypomniał, że Czech nigdy nie był naszym przyjacielem, a zawsze dybał na Polskę. Jeśli Czech sfałszuje plebiscyt, lud go poprawi bagnetem i nie da się skrzywdzić. Niema Polski bez Śląska.

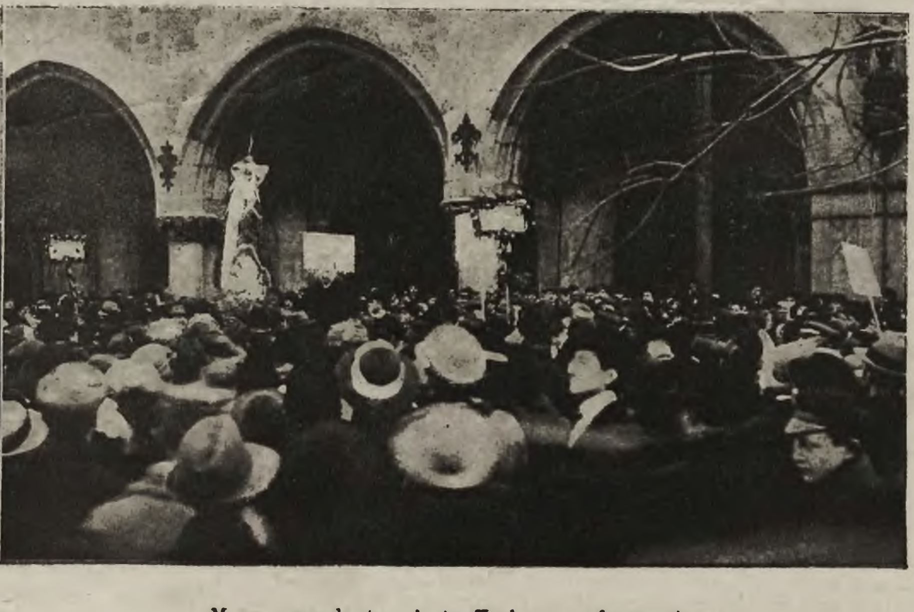
Po przemówieniu posła Daszyńskiego zabierali głos przedstawiciele kolejarzy i robotników z Fryształu, piętnując gwałty czeskie. Jako burza rozległa się twarda mowa ks. Sciskały, przedstawiciela głównej misyi plebiscytowej w Cieszynie. Drgały serca słuchaczy, gdy padły te silne słowa, że „Śląsk jest nasz i zwycięstwo będzie nasze. Misya aliancka



Mowa prof. Zubera z Łodzi podczas wiecu na rynku krakowskim



Grupa gości ze Śląska Cieszyńskiego, Spiszu i Orawy.



Mowa prezydenta miasta Krakowa podczas wiecu.

chce nas oddać w ręce wroga i ustanawia krzywdzące prawa. Tak nie śmie być dalej". Następnie odczytał rotę przysięgi, którą lud śląski i krakowski trzymając wzniesione prawice ku górze powtarzał.



Rozerwanie kordonu francuskiego podczas wiecu w Cieszynie

Z drugiej strony Sukiennic powitał braci ze Śląska, Spisza i Orawy prez. Federowicz, jako gospodarz miasta, po którym zabrał głos wiceprez. komitetu plebiscytowego w Bielsku p. Obrut; przemówienie człowieka czynu. Mowca wierzy w zwycięstwo i ma tę pewniejszą wiarę, że za ludem śląskim stoi cała Polska, bo przecież niema Polski bez polskiego Śląska. Następnie przemawiał prof. Zybert z Łodzi, zapewniając braci śląskich o żywej i niezachwianej miłości ludu z byłej Kongresówki.

Silne wrażenie wywarła mowa ks. Machaja, proboszcza z Orawy. Zapał jego słów udzielił się wszystkim. Wzywał Polskę, aby nie pozwoliła zagrabić Czechom Spisza i Orawy.

Spiszuk Halczyn, który z ks. Machajem i Borowym byli jako delegacya w Paryżu, idąc po linii myśli przedmówcy zwracał się do braci, aby polskiemu narodowi ze Spiszu i Orawy „krziwdy nijakiej robić nie dali, bo nie chcom być, jako dzieci bez macierzy".

Burzę oklasków wywołało przemówienie ks. Michejdy.



Koalicyjna misja plebiscytowa na Śląsku Cieszyńskim: od ręki lewej szósty: przedstawiciel francuski br. Mannville; potem Japonii prof. Jamada, Włoch markiz Borsarelli, Anglii mr. Wilton.

Zajęcie polskiego Pomorza.

Mimo strasznej pogody przebieg uroczystości zajęcia wybrzeża morskiego był prawdziwie wspaniały. Niemcy zwlekali z odejściem z Pucka i dlatego przygotowania były bardzo utrudnione. Puck jest niewielkim miastem powiatowem leżącem w głębi zatoki Puckiej, odgraniczonym od pełnego morza wąskim a długim piaszczystym półwyspem. Za czasów króla Władysława IV. w Pucku była przystań główna dla polskich okrętów wojennych. Władysław chciał utworzyć silną flotę, któraby osłaniała okręty kupieckie i trzymała w posłuszeństwie księcia pruskiego, dlatego też osobiście wziął się do dzieła i sam doglądał robót na wybrzeżu. w czem pomagał mu generał artyleryi koronnej Krzysztof Arciszewski. Jakób Wejher wojewoda Malborski umocnił przystań i zamek w Pucku. Na półwyspie Helu w miejscu gdzie dziś wieś Chałupy zbudowano morską twierdzę Władysławów, nazwaną tak od imienia króla, a w miejscu gdzie dziś wieś Kusfeld, twierdzę Kazimierzów, nazwaną od imienia brata królewskiego, późniejszego Jana Kazimierza. Twierdze te zabezpieczały Puck od napadu okrętów nieprzyjacielskich, które mogły dostać się przez przerwy, które niegdyś istniały w półwyspie w tych właśnie miejscach.

Z dawnych budowli pozostał w Pucku jedynie kościół parafialny, gotycki, o jednej wysokiej obszernej nawie. Presbyteryum zakończone trzema ścianami, ma sklepienie gwiazdkowe o dwóch prętach; sklepienie nawy jest drewniane. Nad głównem wejściem od strony zachodniej wznosi się wieża niedokończona, której styl wskazuje przypuszczalnie na koniec XIII. wieku. Ozdobą wewnętrzną kościoła jest wysoka szczytnica na wschodnim końcu nawy. Kościół wznosi się na niskim pagórku, nad samą prawie zatoką morską.

Zaraz za uczęszczaną miejscowością kąpielową Sopotem, mały potoczek uchodzący do morza, tworzy granicę Polski od Rzeczypospolitej Gdańskiej. Z okien pociągu widzieliśmy bramę tryumfalną stawianą na drodze zaraz na granicy, a od tego miejsca na domach wszędzie powiewały chorągwie, ludność radośnie nas witała, a chłopcy w rogatywkach biegali wywijając chorągiewkami. Podobnych bram było wiele do samego Pucka. Niestety morze zasępiło się tego dnia, z wyraźnego rozkazu Neptuna, który dąsał się, że Polsce za małe wybrzeże przyznali, a stary brat jego Jowisz zasunął niebo obłokami i mroził ziemię przenikliwym deszczem, tak, że morze zobaczyliśmy dopiero w Pucku. Na dworcu w Pucku powszechną uwagę zwracali rybacy kaszubscy, odziani w skórzane nieprzemakalne odzienie, w wysokich poza kolana butach z sieciami i przyborami do rybołowstwa.

Przebiegu samej uroczystości nie będę opisywał, bo znana ona z gazet codziennych, ale wspomnę, że na uczcie wydanej wieczorem dla uczestników obchodu przez miasto Puck, wśród niezliczonych mów, jedna choć najkrótsza i najprostsza była jakby streszczeniem nastroju całej uroczystości: dowódzca batalionu morskiego w imieniu swoim, oficerów i żołnierzy oświadczył, że wszyscy jednozgodnie ślubują, że nie ustąpią z zajętych stanowisk, od polskiego wybrzeża gotowi zawsze iść naprzód, w prawo czy w lewo, ale nigdy w tył, a nieprzyjaciel, choćby po trupach marynarzy chciał zająć wybrzeże, to tego nie osiągnie, bo staną do walki i inni wojownicy, którzy wroga odeprą!

Praca i walka o polskie morze powinna być naszem dzisiejszem głównem zadaniem i wytyczną naszej polityki.

Przytaczamy tu kilka widoków z okolicy Te-



Wejście wojsk francuskich do Cieszyna.





Zajęcie polskiego Pomorza:

Górskie obok Torunia. Barbarki obok Torunia. Staw młynowy.

runia, które świadczą jak dalece tamtejszy krajobraz podobny jest do krajobrazu z innych nadwiślańskich stron.

Ks. dr T. Kruszyński
wiceprezes Małopol. Tow. Kresów Pomorskich.



Połączenie nadpowietrzne między Włochami a Japonią: Olbrzymi trójpłaszczyznowiec systemu Caproni w chwili odjazdu do Tokio.

Połączenie nadpowietrzne między Włochami a Japonią.

Ruch aeroplanowy poczyna się z każdym dniem rozwijać coraz wydatniej. Linie nadpowietrznego ruchu obejmują już dziś bardzo dalekie przestrzenie. W ostatnich dniach we Włoszech zbudowano olbrzymi trójpłaszczyznowiec systemu Caproni, który rozpoczął podróż z Rzymu do Tokio. Kierownictwo aparatu, zaopatrzonego doskonale we wszelkie udogodnienia prowadzą słynni awiatycy Sala i Barella. Podróż ta będzie trwała przez dłuższy czas. Wskazuje to na olbrzymi postęp awiatyki, która w krótkim czasie opanuje z pewnością wszystkie komunikacye.

Od Wydawnictwa.

Wprowadzenie ustawowej relacyi koronowej i marki, oraz podniesienie ceł do 900% przyniosło w życiu gospodarczem Małopolski znaczne podrożenie artykułów niezbędnych przy wydawnictwie pisma. Szczególnie papier, farba drukarska, chemikalia doszły do niebywałych cen, które stopniują się jeszcze wskutek trudności nabycia wszelkich materyałów technicznych.

Dlatego też Wydawnictwo jest zmuszone do nowego uregulowania prenumeraty i oznaczenia jej w markach. Nie liczymy tu na wyrównanie kosztów, ale chcąc umożliwić dalszą egzystencyę jedynego pisma illustrowanego staramy się pokonać możliwe trudności. Licząc na wyrozumiałość P. T. Czytelników, wobec ciężkiego położenia obecnej prasy polskiej, ufamy, że nie odmówią nam dalszego poparcia.

Z dniem 1 marca prenumerata wynosi:

Rocznie	M. 148·—
Półrocznie . . .	M. 74·—
Kwartalne . . .	M. 37·—

Pojedynczy egzemplarz M. 3·—





Zajęcie polskiego Pomorza:

Wylew Wisły widzianej z Torunia. Wisła w Górskiem obok Torunia.

Guy de Téramond.

Tajemniczy zbrodniarz.

(Tłum. Marya Toczyska).

20

Lubiał bardzo podróże i zwiedził już dotychczas wiele miejscowości jak Rzym, Neapol, Genuę, Lourdes, Madryt i dużo jeszcze innych miast w celu kształcenia się.

Do parowów d'Ollioules sprowadził go czysty przypadek. Zwykł był bowiem codziennie odbywać dłuższe przejażdżki konne w okolicy, w której się chwilowo znajdował.

Co zaś do tajnej korespondencyi pochwyconej w dziennikach, na której oparte było całe oskarżenie, czy nie mogła tu zajść pomyłka? Czasem jedna mylna litera może zmącić sens całego zdania i nadać mu znaczenie całkiem przeciwne.

Te wszystkie drobne poszlaki, niepoparte żadnym pewnym dowodem, miałyby zniszczyć w jednej chwili całą jego przeszłość bez skazy?

Zdawało się wszystkim, że to poważne oskarżenie, rzucone na młodego oficera — było całkiem pozbawione głębszej podstawy i że ostateczna obrona jednego z najświatlejszych adwokatów paryskich, wykaże niechybnie jego niewinność — tymczasem stało się całkiem inaczej.

Przed przemówieniem adwokata, prezydent sądu oznajmił, że rada wojenna zmuszona jest wyjść z sali, aby tajnie módz rozpatrzeć pewne akta, których ujawnienie publiczne mogłoby sprowadzić poważne komplikacye międzynarodowe.

Jaki przebieg miało to sekretne posiedzenie trwające przeszło godzinę, o tem się nigdy nikt nie dowiedział.

Po powrocie na salę, oficerowie mieli ten sam strapiony i nieodgadnięty wyraz twarzy i zachowali go podczas całej gorącej i wzruszającej przemowy obrońcy, podczas kiedy na sali zgromadzona publiczność objawiała swoją sympatyę dla oskarżonego, okrzykami zwróconymi ku niemu i żywymi oklaskami, ilekroć adwokat podkreślał niezaprzeczoną niewinność swojego klienta.

Ułaskawienie młodego oficera wydawało się pewnem, jakież jednak było zdumienie wszystkich, kiedy z ust przewodniczącego padł wyrok skazujący Pawła de Vareille na oddanie bezzwłoczne szarży swojej oficerskiej i na karę śmierci przez rozstrzelanie.

Oskarżony słuchał spokojnie, kiedy mu odczytywano ten hańbiący i straszny werdyt, twarz tylko pobladła mu silnie i wznosząc rękę do góry, jakgdyby Boga chciał brać za świadka prawdziwości swoich słów, wyrzekł dobitnym, donośnym głosem:

— Przysięgam, że jestem niewinny!

Zabrano go natychmiast pod silną strażą, podczas gdy tłum przykro dotknięty i poruszony, rozchodził się powoli, komentując różnie ten niesprawiedliwy i nieoczekiwany wyrok.

Podczas kilku dni jeszcze dzienniki zajmowały się tą smutną sprawą, poczem cisza ciężka zapadła nad zdrajcą.

Tymczasem w celi swojej Paweł de Vareilles siedział zgnębiony, zatopiony w ponurych myślach.

Rzeczywistość wydawała mu się tak straszną, że zapytywał się, czy to wszystko co spadło na niego, nie było straszną jakąś marą, niezdrową halucynacyą zmysłów!

Był niewinny.

Ja człowiek honoru i obowiązku i oficer bez skazy — nie zasłużyłem sobie niczem na tę hańbiącą okrutną karę.

Napróżno starał się zrozumieć to, co się stało. Jakiegoż wstrętnego sprzysiężenia był on ofiarą? Komuż to mogło zależeć na zgubieniu go w ten sposób? Zanadto ufał swoim przełożonym, aby nie być pewnym, że go skazali po przekonaniu się o jego pozornej winie.

Cóż więc mogły zawierać te tajemnicze akta, których treścią prezydent sądu nie chciał się podzielić z jego obrońcą i w których znalazł dowód zbrodni, której on nie popełnił wcale?

Jak wściekłe zwierzę zamknięte w klatce, Paweł de Vareille tłukł się po swojej ciemnej celi rozpaczliwie, z głębi duszy wzywając ratunku.

Któż jednak z tym ratunkiem mógł pospieszyć? Kto wierzyć mógł jeszcze w jego niewinność?

Wszyscy z pogardą odwracali się od niego... Dawni przyjaciele wyparli się go... rodzina przeklinała — a nawet jego adwokat po kilku obojętnych słowach, rzuconych z litości, odjechał już do Paryża...

Pomoc jednak, której tak rozpaczliwie wzywał, nadeszła.

Jeden z dozorców, który był świadkiem całego przebiegu rozprawy, był pomimo ostrego wyroku, wydanego na oskarżonego, przekonany o najzupełniejszej jego niewinności.

Służył on niegdyś w marynarce i nazywał się Antoni Levasseur. Dwadzieścia odbytych kampanii i tyleż ran otrzymanych, wyrobiły mu posadę dozorcy przy więzieniu w Arsenale i dwa medale waleczności.

Rozpaczliwy okrzyk Pawła de Verailles, głoszącego o swojej niewinności, zapadł głęboko w duszę dzielnego wiarusa i z tą samą energią i odwagą, z jaką szedł w ogień nieprzyjacielski, postanowił poświęcić się całkowicie rehabilitacyi nieszczęśliwego, młodego oficera.

— Panie poruczniku — rzekł wchodząc do jego więzienia — niech pan tak nie rozpacza... Dobra sprawa musi zawsze w końcu odnieść tryumf zasłużony... Niech pan podniesie głowę i zacznie odważnie walczyć przeciwko złemu losowi.

— Niestety, mój przyjacielu — odrzekł młody człowiek, wzdychając ciężko. — Czyż wszystko przeciw mnie nie świadczy. Dziś jestem w więzieniu, jutro lub pojutrze może czeka mnie śmierć hańbiąca, do kogóż więc głos mój dojść może!

— To też, panie poruczniku, trzeba przedewszystkiem zacząć od tego, aby odzyskać wolność. Ja przygotuję wszystko do ucieczki... postaram się o przebranie... Otworzę panu drzwi celi... Wiem, że z tej wolności skorzysta pan aby dowieść swojej niewinności. Zapewnie przeżyje pan wiele przykrych chwil zanim dojdzie do tego... może i życie całe temu zadaniu trzeba będzie poświęcić... ale cóż to znaczy... w tem trudnem zadaniu, człowiek taki jak pan, zatracić się nie może. Ja zaś zadowolony będę, że postąpiłem według obowiązku sumienia i cobądźby się stało, żałować tego nie będę.

Paweł uściskał serdecznie dłoń starego.

— Ah! mój przyjacielu — szepnął wzruszony — jakiż dług wdzięczności zaciągam u ciebie! Jakim sposobem będę mógł się z niego wypłacić?

— Nie mówmy o tem panie poruczniku, to jest moim obowiązkiem przerwał szybko Antoni Levasseur, poczem po chwili wahania dodał drżącym trochę głosem:

— Jednakże panie poruczniku... mam prośbę. Mam maleńką dwuletnią dziewczynkę... Matka jej... moja biedna żona, umarła dając jej życie. Milutka jest jak aniołek... zaczyna już mówić i chodzić niezgrabnie. Ona jest całą radością mojego życia, całą nadzieją i podporą starości. Ale widzi pan, ja już naprawdę starzeję się, być może niestety, że mnie już nie będzie na świecie, w chwili, w której najwięcej opieki mojej potrzebować będzie. Co się z nią stanie wówczas... świat jest bezwzględny dla biednych, młodych dziewcząt. Otóż panie poruczniku, chciałbym opiece pana oddać moją Zinetę.. prosić o pomoc i radę dla niej, jeżeli kiedykolwiek potrzebować tego będzie.

— Przysięgam — odparł poważnie Paweł — że prośba twoja wysłuchaną zostanie. Bądź o nią spokojny, mój stary przyjacielu. Jak tylko zdołam oczyścić się z nędznego oskarżenia, jakie ciąży na mnie, zajmę się Zinetą. To, co zrobiłeś dla mnie, oddam twojej córce. Będę dla niej ojcem w złych dniach życia, tak jak ty byłeś mi oddanym przyjacielem.

Przy tych słowach obydwaj mężczyźni uściskali się gorąco.

— Niech Bóg cię ma w opiece swojej, panie poruczniku — rzekł Levasseur wychodząc.

Tej samej nocy wszystkie drzwi więzienia Arsenału otwarły się w tajemniczy sposób przed Pawłem. Dzięki pomocy Levasseur'a mógł on zanim, wieść o jego ucieczce się rozeszła, dotrzeć do Marsylii i wsiąść na jeden z licznych okrętów, znajdujących się w porcie.

W kilka tygodni później stanął na gościnnej ziemi Ameryki. Tutaj dopiero zaczęły się prawdziwe trudności. Na tem wygnaniu, bez pieniędzy, bez stosunków, mówiąc niewiele po angielsku, cóż się z nim dalej stać mogło?

Każdy inny byłby się może cofnął przed tem nadludzkiem zadaniem — ale Paweł de Vareilles nie mógł tego uczynić. Duma jego i uczciwość za wiele ucierpiały w tych tygodniach ostatnich. Posiadał przytem najwyższą siłę: wolność!

Było to w tej epoce, kiedy rząd amerykański oddawał olbrzymie swoje posiadłości na zachodzie do dyspozycyi kolonistów przedsiębiorczych.

Paweł stał się cow-boy'em. Od świtu do późnej nocy przebiegał niezmierzone przestrzenie w pogoni za stadami dzikich koni ze strzelbą na ramieniu, lassem okręconem około pasa, sypiąc pod namiotem, narażony na tysiączne poważne niebezpieczeństwa.

W tem to życiu awanturniczem wyszkolił do ostatecznych granic zimną krew, odwagę i zręczność fizyczną, pewność ręki i oka. Dzięki temu, mógł więc po latach wielu tej niebezpiecznej włóczęgi, uratować, jak wiadomo, na ulicy Hauteville dwie nieważne młode dziewczyny i ich pannę służącą, kładąc celnym strzałem na miejscu rozhukanego konia, który lada chwila mógł je stratować.



— ...niestety mój przyjacielu...

(Ciąg dalszy nastąpi).

Żywienie dzieci w szkołach krakowskich.

Dziś w chwili wyniszczenia społeczeństwa polskiego przez długie lata trwającą już wojnę troska



Żywienie dzieci w szkołach krakowskich: W szkole w Podgórzu.

o dzieci jest najżywotniejszą kwestyą. Wśród budowy państwa nie wolno zapominać o tem że państwo to budować musi się na najmłodszej generacyi, która będzie podwalinami przyszłości. Stąd też musi się wszelkie wysiłki w tym kierunku skierować.

Położenie jest trudne. Straszne wprost stosunki aprowizacyjne na każdym kroku piętrzą tu uciążliwe przeszkody, które niekiedy nie jesteśmy w stanie opanować. A jednak na siłach fizycznych, jakie tworzy się dziś, będzie się wznosił przyszły gmach społeczeństwa, tak, że jeżeli dziś tutaj nie ześrodkuje się nasza troska w niedalekiem jutro znajdziemy się w położeniu bez wyjścia.

Ogromną pomoc stanowią tutaj dary amerykańskie, z których korzysta około 3000 dzieci szkolnych. Żywność przydzieloną przez centralny komitet pomocy dla dzieci spożywają one w stanie ugotowanym pod nadzorem nauczycielstwa w budynkach szkolnych. Żywność podaje się w dostatecznej wyznaczonej przez komitet ilości; za każdorazowy posiłek opłacają dzieci po 30 halerzy, otrzymując naprzemian pokarmy: kakao, bułki, ryż na mleku, fasolę.

Podajemy zdjęcie, przedstawiające chwilę, w której dziatwa spożywa podany posiłek w szkole wydziałowej żeńskiej im. Sienkiewicza w Podgórzu.

Polska Spółka handlowo-przemysłowa i rolnicza w Kołomyi.

Po inwazyi ukraińskiej i ustąpieniu wojsk rumuńskich z Pokucia, ruchliwa Polonia kołomyjska zorganizowała większą instytucyę handlową pod nazwą: „Polska Spółka handlowo przemysłowa i rolnicza Pokucie“ w Kołomyi — Stow. zarejestr. z ogran. poręką. Dzięki usilnym zabiegom i poparciu wybitnych obywateli miasta i okolicy — Spółka „Pokucie“ w krótkim czasie rozrosła się w potężną instytucyę finansową — zaopatrując miasto i okolicę w najbardziej potrzebne artykuły aprowizacyine, zwalczając paskarstwo i lichwę żywnościową. Wobec nader szybkiego wzrostu agend, zakupiła Spółka na własność obszerny gmach piętrowy, w którym się mieszczą biura i magazyny. Spółka Pokucie w krótkim czasie zjednała sobie powszechne uznanie, tak ze strony władz rządowych, jak i publiczności, czego wyrazem było poświęcenie gmachu i lokalności Spółki, które się odbyło dnia 25. b. m.

Po solennem nabożeństwie w kościele farnym, odbyło się uroczyste poświęcenie przez ks. Ferenza — w obecności reprezentantów wszystkich władz cywilnych i wojskowych, jak również wielu ziemian okolicznych i członków Spółki.

Po bardzo podniośle wygłoszonych mowach na temat organizacyi podobnych i instytucyi na kresach, przedstawiła Dyrekcya pokrótce rozwój kilkumiesięczny Spółki, jak to przy dobrej woli i energicznej pracy ze skromnych funduszów, szybko zaczęła się rozwijać tak, że obecnie obrót miesięczny przenosi 5,000 000 K, a dotychczas dostarczyła Spółka zwyż 480 wagonów rozmaitych artykułów aprowizacyjnych t. j. zboża, mąki, owoców strączkowych, drzewa, soli, nafty, skóry, obówia etc. Obecnie ma już w drodze 30 wagonów nasion rolniczych, ponadto maszyny rolnicze gospodarcze, szkło, żelazo i t. p. Rozwój Spółki „Pokucie“ zawdzięczać należy energicznej pracy Dyrekcyi, na której czele stoją wybitni działacze społeczni na Pokuciu pp. Bogumił Horodyski i Eustachy Turczański.



Polska Spółka handlowo-przemysłowa rolnicza w Kołomyi: Gmach Spółki w Kołomyi.





Polska Spółka handlowo-przemysłowa i rolnicza w Kołomyi:

Zebrani goście podczas poświęcenia gmachu Spółki.

Uczestnicy poświęcenia gmachu z Dyrekcyą.

Kronika tygodniowa.

Posiedzenie sejmowe zaczyna się z zasady od odpowiedzi Rządu, potem przychodzi kolej na wnioski nagłe, zgłoszone do laski marszałkowskiej, wreszcie następuje „porządek dzienny“.

Z czemś podobnem ma i kronikarz do czynienia. Odpowiedzi rządowe, to mandaty, jakie nań włoży Wydawnictwo, wnioski nagłe i interpelacye „do pióra kronikarskiego“ to głosy P. T. Czytelników, żądających odpowiedzi, informacyi itd. Po załatwieniu wszystkiego można dopiero przejść do porządku „tygodniowego“.

Co do pierwszego punktu, to mam zaszczyt zwrócić się do Szanownej „Czytelniczki z Rzeszowa“ z wytłumaczeniem, że irytacya Jej nie ma zupełnie uzasadnienia, gdyż *Nowości illustrowane* w tym czasie nie zdrożały, jedynie przez pomyłkę wydrukowano w odnośnym numerze niewłaściwą cenę za egzemplarz, co zaraz w następnym sprostowano. Szanowna „Czytelniczka“ dała upust swej irytacyi, wymyślając nam od paskarzy i grożąc tak energicznie, że mimowoli nasuwa się przypuszczenie, że autorką listu nie była białogłowa, lecz przedstawiciel płci brzydkiej, choć znów nieofrankowanie listu przemawiałoby za tem, że to przecież była niewiasta. Aby rzecz definitywnie rozstrzygnąć, oddaliśmy list do zbadania zawodowemu grafologowi, ten jednak dotąd nie wydał jeszcze swojego orzeczenia.

Tak czy owak, popędliwy mężczyzna, czy też spokojna, o gołębiem sercu białogłowa niechaj się niepotrzebnie nie gniewa, bo to tylko pomyłka. Ponadto należy pamiętać, że „złość piękności szkodzi“ i zwłaszcza niewiastom jest z nią „nie do twarzy“.

Że cena *Nowości illustrowanych* podnosiła się w miarę jak się „poprawiały“ stosunki, temu się chyba nikt nie dziwi, kto sobie zdaje z tego sprawę, że wszystko podrożało w tak niesłychany sposób, iż za to, za co się płaciło przed wojną dajmy na to koronę, trzeba dziś „sypnąć“ i pięćdziesiąt koron, za które otrzymuje się jakiś surogat i jeszcze musi się być zadowolonym, że się go dostało!... Jeśli się weźmie w porównanie cenę naszego pisma, przy wydatkach, jakie pociąga za sobą tego rodzaju wydawnictwo, z podrożeniem, dajmy na to, jakiegoś pisma codziennego, które z sześciu halerzy podskoczyło na ośmdziesiąt, musi się przyznać, że byliśmy bardzo umiarkowani i na zarzut „paskarstwa“ bynajmniej nie zasługujemy, owszem sami narzekamy na paskarzy, dających się nam we znaki na każdym kroku.

Gdyby Interpelant czy Interpelantka zestawili obecne koszta wydania numeru z dawniejszemi wydatkami na ten cel, złapaliby się poprostu za głowę, tak jak my się łapiemy, nie wiedząc jak związać koniec z końcem.

I dlatego bardzo nam przykro, że za nasze najlepsze chęci spotyka nas tego rodzaju „uznanie“.

Ale trudno!.. Jeszcze się ten nie urodził, kto dogodziłby wszystkim.

Tyle na wytłumaczenie się z zarzutu, jaki nam uczyniono zupełnie bezpodstawnie.

Z kolei rzeczy należałoby też odpowiedzieć na kilka interpelacyi, zgłoszonych do „kronikarskiego pióra“, zachodzi przecież uzasadniona obawa, że w takim razie braknąć może miejsca na „porządek tygodniowy“. Pomijamy je zatem chwilowo milczeniem, obiecując w swoim czasie, gdy się ich więcej nazbiera, poświęcić im całą kronikę, zwłaszcza, że kronikarz, jeśli się już do czego zabierze, lubi to wykonać sumiennie i nie zbędzie byle czem, interpelacye są zaś tak różnorodne, że odpowiadanie na nie wymaga zupełnie seryo przygotowania, a na to brak czasu, według bowiem uchwały sejmowej wolno pracować dziennie tylko ośm godzin, w niedzielę zaś i święto musi się z obowiązku próżnować.

Porządek „tygodniowy“, jaki sobie kronikarz wyznaczył, miał być przedewszystkiem uzupełnieniem kroniki poprzedniej, mającej za *motto* „Wśród serdecznych przyjaciół psy zająca zjadły“.

Ze względu na brak miejsca, można było poświęcić słów kilkoro jedynie „przyjaciołom“, dla „psów“ już go nie starczyło, ale chyba każdy z P. T. Czytelników dośpiewał sobie resztę w duszy i zrozumiał intencye kronikarza. Zatem można ten temat porzucić, bowiem dwie kroniki jedna po drugiej poświęcone tylko polityce, to byłoby może zadużo. W wielkim poście należy się umartwiać, ale i w tym kierunku musi się zachować pewną miarę.

Daleko wdzięczniejszy temat rozmyślań stanowią stosunki wewnętrzne, poprawiające się z dnia na dzień, jak to mówią „z pieca na łeb“.

Niestety, zupełnie polityki w trąbę puścić nie mogą, gdyż dziś, choć jest to połączone z trudnościami, politykuje każdy. Dała temu wyraz krakowska Rada miasta, wyrażając na pierwszem wielkopostnem posiedzeniu, w dniu 19 lutego, żądanie, aby zawarto pokój z bolszewikami.

Kwestya „wojna, czy pokój“ zajmuje dziś wszystkich i dzieli społeczeństwo na dwa wrogie obozy. Oświadczysz się za wojną, nawymyślają ci od „narodowych demokratów“, bąkniesz o pokoju, powiedzą, że jesteś zdeklarowanym bolszewikiem i wskażą na Estonię, która pokój zawarła z Rosyą i już odczuwa jego skutki, ma zarazę, drożyznę i komunistyczną agitacyę.

Nasza Rada oświadczyła się większością głosów za pokojem i ma tę błogą nadzieję, że, o ile będzie się kto liczył z jej zdaniem, pokój będzie zawarty. Nie będzie to nawet połączone z trudnościami. Zarazy, drożyznę i agitacyę bolszewicką mamy już u siebie.

Prawdziwie „neutralnych“, którzy nie są ani za pokojem, ani za wojną, ale radzi byliby, aby już raz nastały lepsze czasy, jest stosunkowo mało. Należy do nich i kronikarz.

Politykowanie, jak się wyżej rzekło, połączone jest obecnie z trudnościami. Najważniejsze kwestye omawiało się zwykle przy bombie, teraz, gdy kosztuje ona cztery korony, najwyżej raz na tydzień można sobie na podobny wydatek pozwolić.

Pozatem raz lub dwa razy w tygodniu (zależnie od tego, jak prędko komu rośnie broda), prowadziło się dyskusye polityczne z swym golibrodą w czasie dokonywanych przez niego „operacyi“. Dziś i w tym kierunku trzeba zaprowadzić oszczędności, gdyż golibrodzi, idąc za przykładem innych, podwyższają cennik co najmniej raz na tydzień. Obecnie, jak się sam kronikarz miał sposobność przekonać na swej skórze i kieszeni, ostrzyżenie i ogolenie, bez żadnych specyalnych zabiegów, kosztuje dwadzieścia koron. Tyle przynajmniej kazano mu zapłacić za jedenastominutowe posiedzenie.

Będziemy zatem chodzić zarośnięci jak dzicy ludzie, ale odpadną także polityczne rozmowy, jakie się z mistrzami nożyc i brzytwy prowadziło. A trzeba wiedzieć, że każdy golibroda to polityk z krwi i kości i urodzony dyplomata. I dziwić się należy, że tak ich mało bierze dotąd udział w życiu publicznem.

Na posiedzeniu Rady miasta w dniu 19 lutego uchwalono założyć miejską fabrykę mydła, być może, że wpłynie to na obniżenie cen w „salonach fryzyerskich“, wiadomo bowiem, że mydło jest niezbędne do golenia.

Z chwilą gdy ową fabrykę puści się w ruch, poprawi się wszystko i pójdzie „jak po mydle“. Mamy wprawdzie przysłowie „wyszedł jak Zabłocki na mydle“, ale ono do naszych stosunków nie może się stosować, gdyż, o ile mi wiadomo, wyrobem miejskiego mydła nie zajmuje się żaden Zabłocki, a tylko członkowie tej rodziny nie mają do niego szczęścia.

Mamy już kamieniołomy w Miękini, mamy kopalnie węgla w Jaworznie, obecnie przybywa fabryka mydła, co jest jednym dowodem więcej, że Kraków jest wielkiem miastem i że powinien mieć swą własną operę, do której z pewnością nie brakłoby kandydatów i kandydatek, gdyż, jak wiadomo, śpiewamy coraz cieniej, ale i coraz żałośniej.

Czy na poprawę stosunków wpłynie zmiana Rady przybocznej (przy tronie p. prezydenta) na Komisyę aprowizacyjną, tego powiedzieć nie możemy, ale nie tracimy nadziei, że wszystko pójdzie starym porządkiem, bo zmieniła się tylko nazwa, ale nie ludzie, którzy w skład tej instytucyi wchodzą. A jak stwierdza komunikat Urzędu zdrowia, pojawia się już i w Krakowie epidemia śpiączki. Nie są od niej wolni nawet ojcowie miasta. Objawia się ona, jak stwierdzają powagi lekarskie, zapadaniem w sen i dlatego tak się nazywa. Osoba nią dotknięta, zbudzona ze snu, na zapytania odpowiada niechętnie, zachowuje się apatycznie i mówi nie zawsze do rzeczy, a coś podobnego można u nas skonstatować w czasie różnego rodzaju posiedzeń.

Mamy zatem Komisyę aprowizacyjną, ale byłoby lepiej, aby jej nie było, był natomiast chleb, tłuszcze, cukier, mąka, mięso, wędliny itd. Na to się jednak nie zanosi. Miasta będą skazane na bardzo ciężki przednówek, choć Sejm uchwalił sekwestr zboża, pozostałego u agraryuszy po odstawieniu kontyngentu. Za cetnar metryczny pszenicy płaci Rząd 315 marek, a paskarz 1800 koron, nic też dziwnego, że rolnik woli swe zapasy sprzedać po kilkakroć wyższej cenie.

Minister aprowizacyi oświadczył wprawdzie, że sytuacya jest pomyślną, choć bowiem liczono na dwadzieścia trzy tysiące wagonów zboża, a będzie ich tylko piętnaście, do kwietnia z głodu nie pomrzemy, a potem będzie wiosna, słowiki będą śpiewać, muchy brzęczeć, więc nikt nie będzie myślał o tak prozaicznej rzeczy, jak jedzenie.

A wiosna zbliża się już do nas i to wielkim krokiem. W Paryżu są już fijołki i kwitną podobno brzoskwinie (powtarzam to na odpowiedzialność *Kuryera*), w Krakowie zaś pojawiły się na wystawach modniarskich nowe modele kapeluszy wiosennych, takie, co to na nich właściwie niema nic, ale dużo kosztują.

Tchnienie wiosny poczuł i Wojtek pani *Haef* (dowiedziałem się, że to niewiasta, choć stale używa, pisząc o sobie, rodzaju męskiego). Otóż Wojtek (kot, o ile kto ciekawy!...), nie bacząc na to, że jeszcze luty, a koci karnawał zaczyna się w marcu, romansuje w najlepsze z tłustą, białą kotką z sąsiedztwa, co Autorka w sążnistym artykule podaje do publicznej wiadomości, jako dowód, że wiosna idzie!... To samo zresztą przepowiada i pewien uczony, który się zupełnie nie zna na astronomii i meteorologii, mimo to przecież czasem się nie myli.

Im wiosna wcześniej się rozpocznie, tem dla nas lepiej, o tyle tylko naturalnie, że nie będziemy marznąć, ale trzeba będzie zato kupić żonie wiosenny kapelusz, o czem przypomina w *Kuryerze* taż sama pani „Haef“, niby to po męsku pokpiwając sobie z dziwactw mody, ale mimo to zwracając na nie stale uwagę Czytelniczek, aby kłopotały głowy swym mężom.

A propos karnawału, ale nie kociego, lecz ludzkiego. Pani „Haef“ wytykała Krakowianom „karawaniarstwo“, zarzucała, że nie umieją się bawić itd., gdy się zaś karnawał skończył, pisze najwyraźniej, że był bardzo huczny, a niewiasty do dziś śnią o nim i nawet przez sen wzdychają i powtarzają figury tego lub owego tańca.

I ja jestem tego zdania, że bawiono się hucznie i to nawet zanadto hucznie, nie był to jednak prawdziwy ogień, ale fajerwerki, po których został tylko dym-wspomnienie. Na ruch małżeński nie wpłynął on bardziej ożywiająco, choć może się mylę.

W gruncie rzeczy to karnawał jeszcze się nie skończył, obecnie bowiem mamy żydowski, jak się przekonałem z ogłoszeń, zawiadamiających o raucie z zabawą taneczną w dniu 28 lutego w sali krakowskiego „Sokoła“, urządzonym przez Stowarzyszenie kandydatów adwokackich. W tymże dniu maskarada w Sali saskiej.

Kto więc nie wyskakał się należycie w czasie naszego karnawału, miał jeszcze sposobność teraz, koci karnawał, niestety, już mu jej nie nastręczy.

Ale i koty, zapewne dzięki wojnie, jakoś się zmodernizowały i zapominają o dawnych tradycyach, śladem ludzi urządzając sobie karnawał przez cały rok. Ów Wojtek to zatem stary konserwatysta, szanujący kocie tradycye, choć mu się jakoś bardzo spieszy i początku marca nie może się doczekać. Czy jednak nie są to fałszywe alarmy?... Czy on się nie myli?...

A może zamiast uroczego tchnienia wiosny i „błękitnego“, ciepłego powietrza (definicya *Kuryera*) czeka nas jeszcze zimny powiew wiatru i śnieg, który zamrozi nasze nadzieje?

Czekajmy, a przekonamy się, czy się Wojtek nie omylił. Jeśli sprawdzą się jego przeczucia wiosenne, może być pewny nie tylko uznania, lecz i nagrody. Najtłuściejsza mysz, jaką mi się uda upolować, będzie tym widocznym znakiem mej wdzięczności.

Będzie to wprawdzie połączone z pewnemi trudnościami, bo i skąd tu wziąć mysz i do tego tłustą?... Chyba ze składu jakiego paskarza, mającego nagromadzone zapasy na czarną godzinę. I koty zatem powinny narzekać na aprowizacyę, tak jak narzekają już psy, którym człowiek zjada to, co było dla nich przeznaczone i do tego jeszcze nakłada na nie nowe podatki. Podobno w gronie radców miejskich znalazł się jeden śmiałek, który zaproponował, aby opodatkować i koty, ale się spotkał z ogólną opozycyą, gdyż groziłoby to rewolucyą zwłaszcza starych panien, o których śpiewał poeta:

„Starej pannie to podarek:
Piesek, kotek lub kanarek...“

Z pomiędzy nich wyróżnia przecież kota, chwaląc jego zamiłowanie porządku, ale oburzają się nieraz na jego nocne włóczęgi po dachach.

Jej staropanieńskie serce nie rozumie, że to przecież „tchnienie wiosny“ i jej przeczucie!

Niechaj przypadkiem nie posądzi kto kto kronikarza, że on jest zbyt „wiosennie“ usposobiony, zwłaszcza, że jedno z pism krakowskich doniosło, iż i mężczyźni mają swój „wiek krytyczny“, który się rozpoczyna zwykle po skończeniu czterdziestki. Najstateczniejszy dotąd obywatel staje się nagle lekkoduchem, uwodzicielem, lowelasem i t. d.

Kronikarz dawno już przekroczył ten życiowy Rubikon, ale czegoś podobnego u siebie dotąd nie zauważył... Kto jednak wie!... Powiada przysłowie, że czasem w starym piecu dyabeł pali, ale taki stary piec, niestety, nie grzeje, tylko dymi!

I ten zimny wiatr przykrej rzeczywistości rozwiewa bezlitośnie wszystkie kronikarskie wiosenne marzenia.

O ileż szczęśliwszym jest od niego taki czworonożny Wojtek!...

Marya Toczyska Segeny.

BEZ STERU

Powieść.

31

— Nie! nie — mówiła dalej bezsilnie z bez miernem znurzeniem w oczach. Róbcie, co chcecie! przecież wam czegoś zabronić nie jest w mojej mocy..., ale mnie do tego nie mieszajcie..., ja nie chcę o niczem wiedzieć!... Do mnie Isia przyjdzie, to wiem! bo o jej przywiązaniu nie wątpiłam nigdy, a czy będzie się chciała z rodzicami pogodzić, to już jej rzecz! Wiem tylko jedno, że ja żadnego nacisku w tym kierunku na niej wywierać nie będę.

Łagodność Boguckiej zniknęła w jednej chwili. Stanęła przed Janką rozjątrzona do żywego jej słowami.

— Jak ty śmiesz w ten sposób przemawiać do rodziców? - zasyczała cicho.

— Śmiem, boście mnie sami postępowaniem waszem do tego upoważnili! Daleką byłam od krytykowania rodziców, ale samiście mi czyny wasze w oczy rzucili i sądzić kazali. O jedno was tylko proszę. Wyłączcie mnie z waszego życia. Jeżeli chodzić będzie o po moc materyalną, to uczynię zawsze, co będzie w mojej mocy — ale nie żądajcie odemnie nic więcej, bo nic wam już z siebie dać nie mogę. Boże! Dlaczego wy tacy jesteście, dlaczego? — żaliła się, jak małe dziecko, tłumiąc siłą łzy, łamiące jej głos.

— Co znowu! spokoju trochę, spokoju — wystąpił Bogucki, nadrabiając miną. Po co się tak zaraz wzruszasz i denerwujesz niepotrzebnie. W rodzinie bywa różnie... panie tego... Poróżnią się... pogodzą... i dziura się w niebie z tego nie zrobi. Jesteś podrażniona i nie dziwię ci się wcale. Ludwik nie był wcale niczem dla ciebie. Ale jakoś panie tego... będzie... sytuacya się poprawi... A co do Isi, to jeszcze pomówimy, niema co takie gwałty robić.

— Nie cofnę tego, co powiedziałam, proszę pamiętać — wymówiła Janka dobitnie.

Bogucka wzruszyła ramionami.

— Zawsze byłaś egzaltowaną i romantycznie nastrojoną — westchnęła ciężko. Dlatego też nie przywiązuję wagi do słów twoich, wypowiedzianych w podnieceniu. Jak się uspokoisz, to przyznasz sama, jak byłaś niesprawiedliwą dla nas. Żałuję tylko, że poświęciłam jedno posiedzenie, aby przyjść do ciebie po to, żeby usłyszeć tak przyjemne wymówki. Nie przypuszczałam, aby najlepsze nasze zamiary były tak opacznie zrozumiane.

— Zrozumiałam je tak, jak zrozumiane być powinny. Nie mam sobie nic do zarzucenia.

— Chciałbym się zobaczyć z Ludwikiem — zagadnął Bogucki, wstając. — Kiedy go zastać mogę?

Nie wiem — odparła obojętnie Janka. Mój mąż mało kiedy jest w domu.

— Nie dziwię się — uśmiechnęła się ironicznie Bogucka, zabierając się do odejścia. Jeżeli się tak z nim obchodzisz, jak z rodzicami...

— Nie wypominajże jej już tego — zmitygował żonę Bogucki. Każdy człowiek ma panie tego... swoje przyjemne i mniej przyjemne chwile. No, bądź zdrowa moja kochana. Wpadnę tu którego dnia zobaczyć się z Ludwikiem. Po wyjściu rodziców Janka długą chwilę siedziała jakby przygłuszona i zmartwiała. Nawet radość z powrotu Isi przycichła w niej zaciemniona świeżem wspomnieniem przykrej sceny i myślami, które rozburzyły się w niej, sprowadzając jakąś bezsilność i upadek fizycznej energii.

Po jakimś czasie przemogła się jednak, ubrała szybko i zamknąwszy mieszkanie, wyszła na ulicę.

Atmosfera pokoju dusiła ją. Czuła w sobie usilną potrzebę ruchu i odświeżenia przemęczonego umysłu. Nęcił ją spokój choćby chwilowy, gdzieś na polach za miastem w przestrzeni wolnej od głosów ludzi i ich widoku. Minęła szybko parę ulic hałaśliwszych pod wieczór, gdzie już mroki rozpędzone rdzawym blaskiem latarni, skłębiły się w zaukach i pod osłoną drzew wydostała się na przedmieście, a później w pole, opustoszałe już o tej porze. Ciemność już tu zaległa głęboka, tylko gdzieś w dali migały jakieś czerwonawe światełka i szmer głuchy od miasta szedł niesiony falą powietrza jakby szum toczącej się wody dalekiej i spokojnej.

Janka, przyzwyczajona od dziecka do bezgranicznej swobody i wszelkich rozmiarów pól i lasów, po których uganiała do woli swojej i fantazyi, wchłaniając w siebie kościelną ciszę, przesyconą żywicznem, świeżem tchnieniem — odetchnęła tu już lżejszą piersią. Ciężki wir jej myśli biegł już spokojnym torem, przykre zdenerwowanie zamieniło się w cichy smutek i zamyślenie. Kiedy po godzinie powracała w stronę



„Odetchnęła tu lżejszą piersią".

miasta, myśl o rychłem ujrzeniu Isi występowała już radośnie niezmącona niczem, dając zapomnienie własnych trosk i ciężarów...

IX.

W parę dni później ściągnęła do Krakowa pani Anna z Isią. Towarzyszył im Leszczyc, który zawczasu przygotował mieszkanie i pomógł w pierwszych urządzeniach. Mieszkanie było skromne. Dwa pokoiki z kuchnią, ale przybrane dobrym gustem pani Anny, nabrały zaraz sympatycznego wyglądu. Isi nie bardzo się podobał ten przymusowy pobyt w Krakowie, do którego zraziła się przez przykre wspomnienia z nim złączone, ale pocieszała się myślą, że jak tylko uzyska pozwolenie rodziców na swoje małżeństwo, zabierze Jankę ze sobą i powróci do Wiednia.

Dzień był gorący i pogodny kiedy nazajutrz po przyjeździe wybrała się z gorączkową niecierpliwością do Janki, ciesząc się niespodzianką, jaką jej zgotuje.

Ciepłe fale, jakby roztopionego złota, lały się z nieba, zaciągniętego jednolitym, głębokim lazurem. W jaskrawy sposób uwydatniały gdzie niegdzie żywiej wybijające się plamy farb różnokolorowych, chwilowem ożywieniem barwiąc wypełzłe miejsca — złociły nędzne, wybladłe twarze przechodniów, podkreślały jakby śmiałem pociągnięciem pendzla taksamo i wyzywczość kolorową bogatych strojów jak i szarą nędzę wystrzępionych łachmanów, przesuwających się szybko i lękliwie wśród tłumów. Nawet stare kamienice, pokryte stuletnią warstwą pyłu, pyszniły się, niby złotą, nową powłoką, zdając się urągać złośliwości czasu i zniszczenia. Blaszane dachy kościołów i strzeliste smukłe wieżyczki, prostujące się dumnie w przestrzeni, aż oślepiały gorącym blaskiem, który bił od nich, roztaczając kręgi złotego, rozpylonego światła wokoło.

Isia z radością biegła żywo przez ulicę miasta, nie zwracając uwagi na upał, który coraz gęściejszym ciężarem kładł się na mury i chodniki, rozpalone już do białości. Uśmiechała się sama do siebie, wspominając, że przecież czuje się w całkiem innem nastroju niż wtedy, kiedy wyjeżdżała, nie zdając sobie sprawy z tego co robi, pod wpływem rozkiełzanego żalu i złości długo tłumionej.

Jak huragan wpadła do mieszkania Janki i rzuciła się na nią, omało nie przewracając maszyny i stołka.

Janka zerwała się od roboty blada ze wzruszenia.

— Isia! Isia! wróciłaś przecież — zawołała drżącym głosem, patrząc chciwie w jej twarz roześmianą i zarumienioną szybkim biegiem.

— A widzisz, że wróciłam stara! I to z dobremi nowinami jeszcze. Żebyś ty wiedziała, jak ja się nie mogłam doczekać tej chwili. Nie widziałyśmy się kopę lat chyba! — trzepała Isia, dusząc Jankę w uściskach. Oh! jak ja się cieszę! Gwałtu! nie wytrzymam stara! A to ci wyższa frajda! Co, powiedz? A ty już może myślałaś, że mnie już dawno dyabli wzięli — prawda?

— Wiedziałam, że do mnie przyjedziesz, że cię zobaczę — mówiła serdecznie Janka, gładząc jej niesforne włosy. Czekam od paru dni już na ciebie.

Isia zdziwiona odsunęła się.

— Jakto? toś ty wiedziała o moim przyjeździe — zawołała z rozczarowaniem w głowie.

— Rodzice tu byli przed wczoraj i przynieśli mi tę wiadomość — odparła niechętnie Janka, przypominając sobie przykrą scenę, którą przejść musiała.

— Już? a to się pospieszyli! Ciekawa jestem, kto ich tak dobrze poinformował! Ale głupstwo wszystko, kiedy jestem, co?

Okręciła się kilka razy po pokoju i usiadła zdyszona, śmiejąc się głośno.

— Janka, tak się cieszę, żebym kamienicę przeskoczyła! Bo ty nic nie wiesz jeszcze. Wszystko się jaknajwspanialej zakończyło, choć pani Anna dyablo miała roboty, póki na swojem nie postawiła! Pisała ci o tem?

— Coś nie coś w początku, ale potem długo nie miałam wiadomości i nie wiedziałam, jak sobie to tłumaczyć.

— A no, bo widzisz wszystko było jeszcze w zawieszeniu. Musieliśmy ugłaskać papę Walewicza, bo stary nie bardzo tam chciał mnie za synową. Ale daliśmy z nim sobie radę. A Henryk, to powiadam ci marcypanowy chłop. On zaraz zwąchał, że ja szusa strzeliłam i naprowadził mnie na drogę „świętej moralności"!

— Zacny chłopak! Ale czy ty Isiu pójdziesz do rodziców — zapytała Janka z pewnem wahaniem.

Czoło Isi zasępiło się, a w oczach błysnął dawny wyraz niechęci i żalu.

— Nie wiem jeszcze stara... nie wiem — wymówiła niecierpliwie. Nie mogłabym teraz doprawdy! Jak pomyślę, że przez ten dom cały o mało na psy nie poszłam... to mnie taka złość ogarnia, że biłabym wokoło. Może kiedyś... później... Ale nie mówmy o tem. Janka, nie psuj mi chwili tem przypomnieniem.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Powrót z Francyi ostatnich jeńców niemieckich.

Lądem i morzem powracają do swej ojczyzny jeńcy niemieccy. Ostatni transport odjeżdża już z ziemi francuskiej. Są to przeważnie oficerowie, którzy byli internowani na polach Boyardville, odjechali z wyspy A é on. Między nimi był znany pułkownik schwytany podczas wyprawy zeppelinowej do Anglii celem bombardowania Londynu. Zniszczenie statku zmusiło go do wylądowania w Anglii, gdzie też został schwytany i internowany.

Hołd Akademii francuskiej wodzom.

Dniem uroczystym Francyi był hołd złożony przez Akademię paryską wodzom. Nastrój panował poważny i uroczysty. Uwaga licznie zgromadzonej publiczności ogniskowała się na wodzach, którzy powoli poczęli zajmować miejsca w salach akademickich. Najpierw ukazał się poważny, blady generał Weygard najwytrwalszy i najdzielniejszy pracownik przy marszałku Fochu, potem generał Mangim, ze swoim czarnym wzrokiem, milczący, o wytrawnych ruchach, generał Berdoulat, energiczny i rzutki następca Focha i Balfourier'a w dowództwie 20 korpusu, generał Pénelon, młody sekretarz generalny prezydenta Republiki. Po chwili gorące i nieustające okrzyki powitały wytrawnego i poważnego starca generała Maunoury. Długi czas spoczywały tysiące oczu na tej tragicznej twarzy ślepego bohatera. Wzniosły się znowu okrzyki, gdy na salę wszedł Raymond Poincaré, potem czynny szef państwa zajął miejsce między sekretarzem Fr. Massonem sławnym historykiem a kanclerzem H. Régnier. Podczas gdy oklaskiwano marszałka Focha, ten zwrócił się kłaniając do kierownika szkoły politechnicznej Freycinet'a, 92 letniego starca, wychudłego, z wzrokiem pełnym życia i świeżości. Następnie wszedł legendowy już marszałek Joffre, a obok niego w błękitnym mundurze trzeci marszałek Francyi Petain, obaj witani brawurowymi oklaskami. Spokojnie usiadł w fotelu Paweł Deschanel niedawno wybrany prezydent Rzeczypospolitej. Cała sala powstała gdy w stallach zjawił się marszałek Foch, który odpowiadał delikatnem skinieniem głowy na powitanie zebranych. Na podwórcu Akademii rozległy się tryumfalne warczenia bębnów, tych samych, które dawały wodzom hasła do bitew.

Powstał R. Poincaré i zwrócił się w gorących słowach do Focha, z uwielbieniem i hołdem dla wielkiego bojownika Francyi, a następnie do tego, który nie zwątpił, nie stracił nadziei w ciężkich chwilach Francyi i stanął nad Marną. Cała sala podniosła entuzyastyczny okrzyk na cześć Joffre'a nieśmiertelnego zwycięzcy z r. 1914.

Następnie począł mówić marszałek Foch. W twardych i silnych słowach podnosił zasługi markiza Vogüé, swego poprzednika, który tak sławnie i użytecznie służył ojczyźnie jako dawny ambasador w Konstantynopolu i Wiedniu, generalny prezydent Stowarzyszenia pomocy rannym żołnierzom, który swoją pracą i poświęceniem powinien służyć za wzór. Następnie rzucił garść wspomnień w przeszłość niedawną, czyniąc aluzye do obecnej chwili. Cisza panowała na sali, gdy marszałek kończył swe przemówienie i burzliwe brawa wzniosły się przy słowach: „Musimy opanować Ren, bo u jego granicy kończy się niebezpieczeństwo naszej ojczyzny".



Powrót z Francyi ostatnich jeńców niemieckich: Odjazd jeńców niemieckich z wyspy Oléron; oficerowie z pola de Boyardville wsiadają na okręty, które ich mają odwieść do Niemiec.

Po marszałku zabrał znowu głos R. Poincaré, wyrażając hołd wodzom narodu. Wspomniał także o markizie Vogüé, ale szybko przeszedł do kreślenia obrazu wielkiego Francuza Focha.

Blady, o twarzy skupionej i nacechowanej głęboką powagą marszałek wysłuchał słów szefa państwa, w którego głosie czuć było radość, że może oddać cześć zasługom marszałka.

Poincaré wspomniał o pracy Focha jako profesora Instytutu wojennego, o pierwszych miesiącach wojny, następnie o zasługach jego na stanowisku generała, a wreszcie naczelnego wodza armii, krótko przeszedł koleje wojny i doszedł do jej końca w zwycięskiej glory Francyi. „Zdawało się, że chwila jest ciężka, że przewali się i zwali wszystko



Hołd Akademii francuskiej wodzom: Uroczyste przyjęcie wodzów w sali Akademii.

w przepaść — mówił prezydent — ale nie, tak nie było. Naprzód, jeszcze szybciej naprzód. I wojska pod wodzą Focha słuchały rozkazu. Straszna trójca trzech cesarzy: Wilhelm, Hindenburg i Ludendorff upadła z łoskotem". 10 listopada przyszło do zawieszenia broni — kończył się ostatni akt pracy Focha.

Szalone, entuzyastyczne brawa trwały długą chwilę. Tymczasem na podwórcu Akademii ciągle warczały bębny.



Z sali koncertowej: Aleksandra Szafrańska.

Z Sali koncertowej.

„Krakowskie Biuro Koncertowe E. Bujański", które w bieżącym sezonie koncertowym urządziło w naszem mieście, mimo licznych trudności komunikacyjnych, szereg wielkich koncertów artystów zagranicznych, zdołało pozyskać również i słynnego skrzypka-wirtuoza, Pawła Kochańskiego, który na cztery tygodnie przyjechał z zagranicy do Polski. Kilkoma swymi koncertami w warszawskiej Filharmonii zdobył wyjątkowe sukcesy, a prasa warszawska powitała go słowami najwyższego zachwytu i tak sprawozdawca muzyczny, Franciszek Brzeziński, pisał w *Kuryerze Warszawskim*. Po długiej nieobecności przybył Paweł Kochański do Warszawy i wystąpił w Filharmonii warszawskiej. Koncert jego przypomniał nam dawne czasy, kiedy mały Pawełek stawiał pierwsze kroki na tej estradzie. Z tego utalentowanego malca wyrósł wielki artysta, bezsprzecznie jeden z największych skrzypków w świecie. Olbrzymia technika lewej ręki, nieporównany wprost smyczek, nawskróś muzykalna organizacya, z natury i szczery temperament, ujęty w karby przez poważne wykształcenie muzyczne — wszystko to razem składa się na grę, w której podziw i zachwyt budzi zarówno nieskazitelną czystość i biegłość w pasażach lub trylach, jak przedziwna piękność tonu w kantylenie, jak wreszcie interpretacya, niesłychanie żywa i barwna. Sala była przepełniona — oklaskom nie było końca.

Koncert Pawła Kochańskiego wraz ze znakomitym kompozytorem, Karolem Szymanowskim, odbędzie się w Krakowie w niedzielę 7 marca b. r.

Drugim koncertem, który musi wywołać zrozumiałe zainteresowanie, jest wieczór śpiewaczki Aleksandry **Szafrańskiej**, ulubienicy publiczności krakowskiej. Jej niezrównane kreacye sceniczne w operze „Carmen" i „Werter" utrwaliły się w pamięci słuchaczów. Jej głęboki mezosopranowy głos posiada zarówno akcenty dramatyczne, jak i miękkie tony subtelnego liryzmu. P. Szafrańska jest pierwszorzędną pieśniarką. Staranna deklamacya tekstu, uczuciowy wyraz muzyki znajduje w jej interpretacyi niedościgniony wzór. Stylowy program ukaże interpretacyę artystki w jej wszechstronnej sile. Koncert odbędzie się dnia 6 marca w sobotę, w sali „Sokoła", w imprezie Krakowskiego Biura Koncertowego E. Bujański. Koncert ten, jak również słynnego skrzypka, Pawła Kochańskiego i sławnego kompozytora, Karola Szymanowskiego, będzie prawdziwą ozdobą obecnego sezonu koncertowego.



Z sali koncertowej: Paweł Kochański.

Nowe książki

Wiktor Jan: „Oporni". Opowieści z Podlesia. Nakł. Wydawnictwa polskiego. Lwów, 1920.

Od pewnego czasu pojawiają się w czasopismach lwowskich nowele p. Wiktora Jana, czerpane z życia zwierząt. Autor ich wziął się do pracy na polu rozpościerającem się w naszej literaturze ślepemi ugorami. Był Dygasiński, stworzył kilka arcydzieł, a ponadto zupełnie nic. Nowele p. Wiktora odznaczają się doskonałem zrozumieniem psychologii zwierzęcej, popartem skrzętną obserwacyą. Od Dygasińskiego różnią się „ugazdowieniem" tych ptaków i zwierząt, które czują się wsią pod każdym względem.

W ostatnich dniach ukazali się „Oporni", szereg opowiadań z życia podlaskiego, zaczerpniętych z niedalekiej przeszłości, bo z krwawej doli pod pięścią okupantów. Autor lud podlaski zna dobrze, umie się wczuć w jego myśli, w to co tam boli, płacze, co się cieszy i raduje, w każde drgnienie codziennego życia. I razem z nimi płacze z bólu i razem z nimi chce wywalczyć lepszą dolę. Zagląda do każdej chaty, interesuje się żywo wszystkiemi sprawami i wyciąga ręce bezradne, bo tam pięść nad tym ludem spoczywa. Gdyby choć jedną radę. Głęboki liryzm, wspomagany wspaniałym stylem, odtwarzającym w każdej cząstce z pieczołowitością malowane nastroje — oto cechy „Opornych" i dużo serca, łez, bólu na widok tych strasznych scen przemocy i gwałtu, na które bezsilnie musi się patrzeć i giąć, giąć aż do ziemi, bo tak los każe. Książka z tych powodów może służyć jako materyał agitacyjny i informacyjny, jak tam się żyje i jako biblia, jak tam się czuje po polsku i jak powinno się być Polakiem.

Jeszcze styl. Autor nad tem poświęca dużo czasu, stara się o wyrzeźbienie każdego zdania, aby miało ono metaliczny dźwięk i z drugiem, albo trzeciem



Nowe książki: Wiktor Jan.

przędło się, jakby łańcuszek błyszczących kamieni, bławatów, maków i innego kwiecia, które czuć w każdym wierszu.

Na jedno tylko zwrócę uwagę. Autor nie zna dyalogów, widać silenie się nad sprecyzowaniem wartkiej i płynnej rozmowy, czasem staranie o brawurowość, czasem nawet uczucie hamuje się w dyalogu. Jest tu duża pretensyonalność o potoczystość, ale nie osiągnięta, raczej szablonowa i niezręczna. Widać, że autor czuje dobrze, co ci jego bohaterowie mówią, ale sam nie umie jeszcze tego wypowiedzieć. Zwłaszcza, że sam utrudnił sobie sytuacyę. Forma. Żeromski, czy Reymont daleko szczęśliwszą formę obrali. Autor, robiąc wycieczkę z kolumną sanitarną, opisuje swoje wrażenia, starając się ująć je w formę nowel. Zamiar prysnął wobec trudności, a przez to i dyalog rozpłynął się czasem w rozdrobnione urywki. Szkoda, że p. Wiktor nie pisał nowel zamiast opowiadań, bo przez to osiągnąłby to, czego brak opowiadaniom. W każdym razie zarysowuje się tu silny i samoistny talent. Książka warta przeczytania.

Odpowiedzi od Redakcyi:

P. T. Czytelników, nadsyłających rozwiązania zagadek, upraszamy o wcześniejszą ekspedycyę rozwiązań, gdyż bardzo często otrzymujemy je już po zamknięciu numeru.

W. P. H. Wereszczyński, Lwów. Tylko ci z nadsyłających rozwiązania będą dopuszczeni do udziału w losowaniu, którzy przynajmniej półroczną prenumeratę opłacają, wprost w naszej Centralnej Administracyi, Kraków XV., ul. Kazimierza Wielkiego l. 95. Prenumeratę można nadesłać każdej chwili.

WP. W. Cażycki, Łobzów. Rozwiązanie Wielkiej szarady konkursowej nadeszło bez kuponu, wyciętego z numeru i należycie wypełnionego.

WP. A. R. Lwów. W pierwszem ogłoszeniu Wielkiej szarady, w cyfrach, składających pięćdziesiąt wyrazów, zaszły drobne omyłki druku, które w następnym numerze sprostowano. Nadesłane rozwiązanie jest ważne i będzie dopuszczone do losowania.

TADEUSZ KANNENBERG.

HE-LA!

Słupski, choć młody, jednak powodów do smutku miał tak wiele, że słusznie mógł mieć pretensyę do świata, że dzieje mu się krzywda. Wszak miał lat 33 i — rzecz niesłychana — nigdy się nie kochał!

Tak jakoś zeszło!

Szkoła, lekcye, egzaminy, wojsko, praktyka inżynierska i tak dzień za dniem, aż do dziś.

Rok mija, odkąd Słupski „siedzi“ na posadzie. Prowincya rzetelna. Trudno byłoby tu wytrzymać, gdyby nie Niewiczowa, u której najął mieszkanie z utrzymaniem.

— Niewiczowa? — rozmyślał. — Przy niej czuje się dziwnie spokojnie i błogo.

— Czyżby?...

Skądże znowu! Wszak sentyment zwykł się inaczej budzić — zresztą, Niewiczowa chyba nie myśli o nim? Nie, nie!

— A jednak?... myśl wraca uporczywie. W jej towarzystwie czuje się tak dobrze! Prawda, że najczęściej dzieje się to po obiedzie lub kolacyi, którą ona doskonale przyrządza... ale znowu wszyscy doskonale wiedzą, że pierwsza miłość musi być albo idealna, albo namiętna. A tu? ani jedno, ani drugie. Słupski nie wiedział, co ma myśleć! Trudno... nigdy nie kochał, więc nie wiedział!

Raz po kolacyi rozmawiali ze sobą dłużej.

— Niech mi pani wierzy, że zastanawiałem się wiele nad sobą i swojem życiem i po długich rozmyślaniach doszedłem do wniosku...

— Jestem ciekawa?

— Oto, że to co poeci mówią i o czem piszą, i w co każą nam święcie wierzyć, w tę wielką chwilę płomiennej miłości w życiu każdego człowieka — to frazesy, oparte na przesadnej wrażliwości nerwowej naszej młodzieży. Kto w młodości przetrwał ten, bądź co bądź chorobliwy okres szczęśliwie, dlatego dalsze życie przedstawia się już w codziennych, a nie różowych, barwach.

— Jakby mi pan z ust wyjął! U nas? gdzie tam, która zaraz się kocha! Idzie za mąż, bo tak trzeba, bo tak każą, bo tak wypada, bo lepsze wreszcie zamążpójście, jak staropanieństwo! W małżeństwie dopiero rodzi się prawdziwa, stateczna i spokojna miłość.

— A widzi pani?

— Albo i ja?... Przecież nie z miłości wyszłam za mąż. Wyszłam? bo tak trzeba było. Mąż był dobry, starszy, może i za stary nawet, ale toby nic nie stanowiło, gdyby nie to, że w domu był ciągły szpital. Wiecznie chorował, a i ja przy nim byłam ciągle słaba. No i Hela wciąż jeszcze zagrożona, uczyć się musi na pensyi w Szwajcaryi. Mąż umarł na płuca. Zostałam sama z Helą. Ona... to cała moja pociecha! Ładne dziecko, dziś już panna, ma 17 lat. Oczy?... te oczy panie... ludzie się oglądali. Ja takich oczu, jak mi Bóg miły, nie widziałam nigdy w życiu... Ot! ciężkie było życie, a przecie nie narzekam!

— Jaka pani dobra! — i pocałował ją w rękę. Równocześnie spostrzegł po raz pierwszy, że ma rękę kształtną, miłą w dotknięciu i że pachnie fiołkową wodą kolońską.

* * *

Źle jest. Do późnej nocy nie mógł zasnąć. Ciągle czuł zapach fiołkowej wody i ciągle miał przed oczyma rękę Niewiczowej. Wreszcie zmęczony zasnął. Śniło mu się, że przez dziurkę od klucza zagląda do jej sypialni i że widzi ją...

Zerwał się z łóżka. Otarł pot z czoła. Potem miał straszne sny. Rano obudził się z silnym bólem głowy.

Przez cały dzień pracował intenzywnie, mimo to czuł się nieswojo. Nad wieczorem poszedł się przejść. Lubił spacery dalekie i samotne. Wszak i życie jego dotąd schodziło w samotności. Szedł przed siebie w cichą wieczorną dal. Zeszedł z gościńca i wszedł na tor kolejowy, który skręcał w lewo ku ciemnej plamie dalekiego lasu. Lubił te szerokie widnokręgi, lubił okiem łowić jak najdalsze przedmioty, lubił zapatrzyć się w daleki punkt na horyzoncie i tak stać choćby godzinami. Wówczas nie myślał o niczem a przecie zdawało mu się, że w ten sposób właśnie przeżywa najbardziej filozoficzne zagadnienia wszechbytu. Wszedł na długi most rzucony nad rzeczką, która po ostatnich deszczach sporo wezbrała. Koryto miała szerokie, po obu brzegach rosły krzaki dzikiej łoziny. Był nad środkiem rzeki.

Nagle usłyszał za sobą przeraźliwy gwizd lokomotywy i straszliwy tętent kół po stalowych szynach. Chwycił się za głowę. Co począć? przed siebie? nie zdąży. Z krótkim okrzykiem przerażenia zamknął oczy i skoczył w rzekę.

Pociąg w pędzie przedudnił ponad nim.

Wody było dużo, więc się nie potłukł — zgubił jeno kapelusz i cwikier.

Księżyc zeszedł w pełni, — gwiazdy na niebie zalśniły migotliwym blaskiem, zanim Słupski, po dłuższym wypoczynku pod filarem mostu, zdecydował się przeprawić przez łozinę na brzeg ku domowi. Wyciągając po kolei nogi z grząskiego mułu, uprzytomnił sobie każdy szczegół przeprawy Skrzetuskiego przez staw pod Zbarażem. I stanął nie dlatego, że „zoczył wrogie czaty“, lecz że trafił na dołek błotny, skąd nie sposób było wyciągnąć nogi z butem. Chwilę myślał, zanim się zdecydował. Szarpnął nogę prawą, potem lewą i już lżejszym krokiem (bez butów) energicznie gramolił się ku spadzistej szkarpie.

Słupski rozchorował się; dostał silnej odry.

— No! wiecie państwo! — śmiała się Niewiczowa po upływie tygodnia gdy niebezpieczeństwo komplikacyj już minęło — żeby w tym wieku dostać odry? Toć moja Hela przebyła ją w siódmym roku. Ale żeby meżczyzna?

— A widzi pani?

— Bo też pan powinien się ożenić! Nie chodziłby pan po polach i nie narażał swego zdrowia.

— Którąż mnie zechce?...

— No, no, no... nie trzeba być zanadto skromnym.

— A gdybym tak poprosił panią, byś zechciała być moją żoną? — Chciał się podnieść z łóżka.

— Proszę się nie podnosić, jeszcze się pan przeziębi! — zawołała Niewiczowa, układając go z powrotem na poduszkę. Przy tej sposobności przechyliła głowę ku jego twarzy i pocałowała go w usta.

* * *

Tejże jeszcze jesieni Słupski ożenił się z Niewiczową. Hela nie mogla przyjechać, kończyła bowiem ostatni rok pensyi i uczyła się właśnie do końcowego egzaminu.

Jakże to dziwnie się plecie! Gdyby tak kto przed rokiem powiedział Słupskiemu, że się ożeni z Cesią Niewiczową, byłby go wyśmiał. A dziś, gdyby go tak kto spytał, dlaczego właściwie ożenił się z Cesią, nie umiałby odpowiedzieć. W każdym jednak razie odrzekłby z pewną dumą, jako swem życiem zrównoważonego mężczyzny stwierdził aż nadto dowodnie, że pisarze i poeci kłamią wierutnie „o miłości“ prawiąc! Jest sympatya, jest pociąg — nie przeczy — jest szacunek i przywiązanie, serdeczność wreszcie i wszystko, wszystko, co chcecie, tylko nie ta wasza „miłość“ — chyba, że to razem wziąwszy, stanowi właśnie ową wielbioną „miłość“. W każdym razie nie powinno się ludzkości oczu mydlić!!!

* * *

Pierwsze miesiące spólnoty małżeńskiej mijały szybko i miło.

Słupski był wesół i coraz lepiej wyglądał. Pani Cesia natomiast była coraz bledsza, chudła w oczach i coraz bardziej pokasływała. Wreszcie rozchorowała się na dobre i tak zaczął się zwykły domowy szpital. Słupski stracił humor i był opryskliwy. Smutna to była zima, a i z wiosną niewesoło. Hela kończyła świetnie ostatni kurs. Przysłała fotografię.

Oczy! te oczy! Słupski nie mógł się im napatrzeć. Dość powiedzieć, że chyłkiem ukradł żonie tę fotografię i nie przyznał się, mówiąc, że gdzieś mu się „zapodziała“.

Odtąd coraz częściej przesiadywał w pokoju Cesi.

Leki nie skutkowały i lekarz jako ostateczny środek zalecił wyjazd latem nad morze. Oboje chętnie na to się zgodzili.

Hela, która właśnie kończyła pensyę, miała zjechać się z nimi nad morzem.

Słupskiemu szybko czas mijał na przygotowaniach do podróży. Nader skrupulatnie uzupełniał swą garderobę. Dużo nowych rzeczy zakupił.

— Patrząc tak na ciebie, zdaje mi się, jakbyś uważał ten wyjazd za długo oczekiwane wakacye? Ze wszystkich twych ruchów bije radość, a przecie ja czuję się coraz gorzej!

— Skądże znowu? zajmuję się przygotowaniem do podróży i nic więcej. Ktoś przecie musi się tem zająć! — kłamał. — Zobaczysz, jak szybko ozdrowiejesz nad morzem!

— Ciężko, oj ciężko!

* * *

Morze! Czyż trzeba opisywać, skoro najśmielsze nawet opisy wrażeń nie dorównują temu zachwytowi, jakie morze wzbudziło w Słupskim, który po raz pierwszy w życiu miał nad niem spędzić lato.

Hela przyjechała.

Tragizm życiowy widocznie czyhał na Słupskiego.

Hela zrobiła na nim wprost niesłychane wrażenie. Jak ją po raz pierwszy zobaczył, nie mógł kroku postąpić. Oczy! te oczy! Przykuła go niemi do ziemi tak, że stał jak uczniak przed surowym nauczycielem.

— A cóżeś tak zmartwiał — rzekła osłabionym głosem Cesia, która dziś, mimo przecudnego powietrza i słońca, czuła się jeszcze gorzej, niż zwykle.

— Ah! nie! tylko nie wiem... nie mam...

W rzeczywistości nie wiedział co odpowiedzieć, ale że Cesia dostała nagle ataku, więc odpowiedź stała się zbyteczną.

Słupski wyszukiwał w ciągu dnia tysiączne sposobności, by być blizko Heli. Gdy się jej dotknął, dreszcz go przechodził. Najmilsze bywały chwile, gdy nad morzem bawili się, czy to jak dzieci w piasku, czy pluskali w łagodnych falach morza. Cesia w wózku nad brzegiem patrzyła na oboje, zrazu z pewnem zdziwieniem — potem z przerażeniem, bo to, co się poczynało przed jej wypłakanemi oczyma, przechodziło jej siły.

A oni tymczasem oboje czuli, że życie otwiera dla nich swe, dotąd dla każdego z nich zamknięte podwoje, okazując im nieznane światy, zawrotnych tajemnic pełne.

Bywało, Słupski nie spał nocami, gryzł poduszki, wyrywał sobie włosy z głowy, tłumiąc przeraźliwy okrzyk przerażenia. Bo i on był przerażony tem, co się dziać zaczynało. Lecz nie mógł i nie chciał przeciwdziałać, owszem wyciągał przed się ramiona, jak człowiek po długim pobycie na morzu, gdy ląd zobaczy.

Nie patrzał na Cesię — nie mógł — bał się. Cesia również wzroku jego unikała, choć w ostatnich dniach tak podupadła na siłach, że wszystko, co poza nią się działo, powoli zaczynało tracić na wartości. W nocy miała tak silny atak, że oboje z Helą przybiegli do łóżka, by ratować nieszczęśliwą.

Hela z rozpuszczonymi włosami, w białym peniuarze, wyglądała jak zjawisko cudne. Podtrzymując Cesię, oboje trzymali się za ręce. Po długich cierpieniach Cesia wreszcie usnęła. Oboje wyjęli ręce z pod poduszki chorej i nagle, niewiadomo jak się to stało, oboje znaleźli się na balkonie. Słupski porwał dziewczynę w swe silne ramiona i przywarł ustami do jej wilgotnych ust.

Szalał.

Szał ten udzielił się i Heli. Świt zastał oboje z ustami na ustach.

Nowy atak Cesi przyprowadził ich do przytomności.

Dzień następny był dla wszystkich pod każdym względem straszny. Nad wieczorem Cesia uprała się, by ją zawieść nad morze. Słońce cudnie zachodziło, schylając swą wielką złotą tarczę w jak najdalsze ciemno-granatowe linie fal na horyzoncie. Cisza panowała dokoła i wyjątkowo pusto było nad brzegiem.

Słupski stał przy żonie, Hela zapatrzyła się w słońce. Nagle podbiegła do brzegu i wskoczyła do łódki, nad brzegiem pozostałej. Chwyciła za wiosła i wolno odpłynęła od brzegu. Słupski chciał wskoczyć za nią, lecz żona dostała nowego ataku. Nachylił się nad nią, spoglądając co chwila za Helą.

Łódka coraz bardziej oddalała się od brzegu.

Wpłynęła na czerwony od ostatniego promienia słońca w nieskończoność wydłużony pas wodny. Postać Heli na tle tarczy słonecznej rysowała się jak czarna plamka, która coraz wyżej dostawała się na górny krąg słońca.

Chciał biec — żona kurczowo chwyciła go za rękę. Z rozszerzoną źrenicą Słupski wpatry-

wał się w ginący ślad Heli. Jeszcze chwila — jeszcze moment — jeszcze ostatni błysk zapadającego w morze słońca — jeszcze jeden tylko błysk myśli i...

Cesią zaczęły wstrząsać straszliwe ataki; przy jednym z nich biedne jej drobne cipło wyprężyło się i bezwładnie opadło na poduszki...

Słupski w obłąkaniu, zwolniwszy rękę ze śmiertelnego uścisku, dopadł drugiej nad brzegiem stojącej łódki i popłynął w dal.

Świt był, gdy wrócił, a wrócił starcem. Włosy mu posiwiały, usta się zacięły, głowa w ramiona zapadła. Zbliżył się do zwłok żony i cicho, spokojnie odwiózł ją na miejsce wiecznego odpoczynku.

* * *

Co roku latem zjawiał się nad morzem mężczyzna w sile wieku z głową starca. Pędził życie w największej samotności, a ludzie go widywali, jak co wieczór pod zachód słońca wyjeżdżał łódką na morze. Płynął daleko i skoro świt wracał.

A ilekroć niebo było chmurne i na wodzie brakło czerwonego szlaku od promienia słońca, siadał nad brzegiem i zrazu szeptem, potem półgłosem, wreszcie w głos wołał, w krótkich odstępach czasu, kładąc przedłużony, jękliwy ton na pierwszej zgłosce, a urywając niższym tonem na drugiej

He — la! He — la! He — la!

Od Redakcyi.

Zwracamy uwagę P. T. Czytelników, że jedynie ci są uprawnieni do ubiegania się o nagrody, którzy nadeślą rozwiązania **wszystkich** zagadek.

Zagadki do nagrody.

Przysłowiówka.

Ułożył J. Małecki, Sambor.

Przez dodanie odpowiednich spółgłosek utworzyć dwa znane polskie przysłowia:

1) --o---e-e--a-,-ie--ie--u-i.

2) --e--a-a-o-a-a,-e--a-a.

Kwadrat magiczny.

Ułożyl M. Szybalski, Lwów.

Z podanych liter ułożyć trzy wyrazy równobrzmiące w kierunku pionowym i poziomym:

a a c
e e l
l l n

Znaczenie wyrazów: 1) Miara długości, 2) Pismo angielskie, 3) Znana roślina.

Przysłowiówka.

Ułożył H. B., Kraków.

Przez dodanie odpowiednich spółgłosek utworzyć dwa przysłowia, związane ściśle z początkiem lutego:

1) --y---o--i-ę--a--u-ie--e,-i-a--ie-ię---e--e--e.

2) ---o--i-ę-ie---ie---u-ę-a-i,a--o-ą-o--a-ia.

Logogryf.

Ułożył J. Kamiński, Warszawa.

Kwadraty i kreski zastąpić literami, aby powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Rząd środkowy, czytany z góry na dół, utworzy nazwę okresu, poprzedzającego święta wielkanocne.

```
    ■
  — ■ —
    ■
  — ■ —
  — ■ —
  — ■ —
— — ■ — —
— — ■ — —
— — ■ — —
— — ■ — —
```

Znaczenie wyrazów: 1) Spółgłoska. 2) Rzeka w Afryce 3) Samogłoska. 4) Prorok izraelski. 5) Część twarzy. 6) Drzewo szpilkowe. 7) Roślina ogrodowa, używana jako przyprawa. 8) Miasto w Galicyi wschodniej. 9) Rodzaj niedozwolonego handlu. 10) Nazwisko polskiego ministra.

Za dobre rozwiązanie wszystkich zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania dwie nagrody: 1) W. Przyborowskiego: „Czerwona mara" (powieść), 2) Paczka papieru listowego 25 arkuszy i tyleż kopert).

Dobre rozwiązania nadesłali pp.: H. Wereszczyński, Lwów, S. Styliński Tarnów, J. Gradowska Jarosław, F. ajfusz Kochów, Cz. Kozłowski Noworadomsk, . Szczudłowski, Jarosław, C Górny Limanowa, M. Komorowska Sandomierz, J. Krupski Krosno, H. Ostrowski Warszawa, J Sławikowski Lwów, M. Jerzyk Stanisławów, W. Dobrowolski raków, H. Daniłowicz Lwów, M. Dębski Rzeszów, H. Ogrodnik Lwów, J Zawadzki Rzeszów, R. Dworzak raków, S. Samlicka Nowy Sącz, J. Jaworski raków, T. Tokarski Przemyśl, M. amiński Zakopane, H. Bandrowska Lwów, . Antonidwicz Radom, H. Roland Łodź, S. Sokołowski Warszawa, K. Dembiński Jasło, B. Popiel Kraków, J. Broda Tarnobrzeg, R. alinowski Jaworów, C. Niewiadomski Lwów, H. Baranowska raków, H. Martynowicz Warszawa, M. Rychlicka arszawa, Z. Sperling Wiedeń, K. Rybicki Lwów, R. aczkowski iedeń, J. Stąpień raków, K. Radziszewski Lublin, M. Ber atowicz Lisko, M. Schneider Tomaszów, J. aligórski raków, S. Brodziński Lwów, J. Lisowski raków, W. Potocka Kraków, Z, Jastrzębska Lwów.

W sprawie Wielkiej szarady konkursowej: Zwracamy uwagę P. T. prenumeratorów, że tylko te rozwiązania będą dopuszczone do losowania, które odpowiadają warunkom konkursu. Należy je nadsyłać **tylko** na kuponie, wyciętym z odnośnego numeru „Nowości Illustrowanych".

Nagrody przez losowanie otrzymali: 1) F. Ostrowski Skawiwa (książka). 2) J. Gradowska Jarosław (papier listowy). Upraszamy o nadesłanie 7 fen. na koszta poleconej przesyłki nagrody.

Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor: M. Lipińska. Klisze własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina. Pod zarządem Stefana Karczmarskiego.